

ADA T.KOSTERKIEWICZ

POLSKI BIEGUN CIEPŁA

WYDAWNICTWO J, WROCŁAW 2026

Po tym jak w dziewięćdziesiątym roku ludzie szeptali za trumną dziadka, że nie należy mu się katolicki pochówek, bo był komunistą, chociaż z władzą ludową to miał tyle wspólnego, co oni sami, czyli niewiele, babcia Boga miała już tylko w sercu, ale zawsze wciskała nam w dłonie garść złotych, żeby było słychać, jak wrzucamy na tacę. Odkładaliśmy potem te złotówki: ja do stoika, Jacek do plastikowej skarbonki w kształcie Pszczółki Mai, bo według matki nie wypadało wrzucać kościelnemu bezwartościowej waluty. Lepiej zacisnąć pięść, poruszyć ręką w banknotach, udąć, że któryś z nich się wrzuciło. Uzbieralibyśmy z tych babcinych złotych pokaźny majątek, gdyby nie okoliczności.

Jacek wcisnął monety do kieszeni niedzielnych spodni, wsiadł na swojego reksia i pognął za matką, która zdążyła na swojej ukrainie dotrzeć już do zakrętu.

– Jak zostańcie w domu, to pomóżcie mi oporządzić kurę! – Babcia stanęła w progu szopy. Trzymała za szyję martwego, jeszcze ciepłego ptaka.

Lubiła zabijać kury. Robiła to z taką lekkością, bez mrugnięcia, chociaż nie raz i nie dwa ręką jej się omsknęła i ostrze siekiery trafiało nie tam, gdzie trzeba. Próbowwała więc jeszcze raz, do skutku, aż kosteczki chrupnęły na pieńku. Kurczakom udawało się czasami uciec. Już bez głowy biegały jeszcze chwilę po podwórku. Byłam święcie przekonana, że muszą posiadać jakiś zapasowy mózg w nogach lub w dupie, który kierowałby ich ciałem po dekapitacji. Ganiałismy za tymi kurami i liczyliśmy sekundy, aż padną. Nie było nam ich żal. Nie tak, jak królików. Królików ojciec nie hodował od dawna. Dostawaliśmy je czasem od sąsiada przy większej okazji. Ale opalenie kurzej skóry z resztek piór nad gazem to było zbyt wiele. Wydzielały ten sam zapach, co nasze spalone włosy i paznokcie, które ładowały w piecu po obcięciu. My i kurczaki zrobieni z tej samej materii. Mdlilo mnie od zapachu opalanej kury, ale nie potrafiłam babci odmówić pomocy. Bo babci się nie odmawiało. Mela widziała to trochę inaczej i znów się wykręciła. Już nie okresem, bo okres nic nie ma do obiadu. Powiedziała, że jej się nie chce. A ja po prostu za nią poszłam.

– A idźcież że, dziewczuska! Jedna lepsza od drugiej! – Babcia rzuciła zakrwawioną szmatą. Umknęliśmy jej i roześmiane wpadliśmy do domu, nie zamykając za sobą drzwi. Babcia nie zamierzała odpuszczać.

Ojciec wstał niedawno. Wczoraj wypił za dużo, a jeszcze nie odespał piątkowej nocnej zmiany. Zalewał kawę w szklance bardzo powoli. Bał się, że się poparzy.

– Dzień dobry! – usłyszeliśmy z podwórka zachrypnięty męski głos. Odgadłam od razu, że należał do sąsiada, Szotka. Wyrzałam przez okno. Był z nim jeszcze jakiś drugi facet, którego nie znałam. Pewnie jakaś rodzina.

– Dzień dobry – odpowiedziała babcia.

– Jest syn?

– Jeszcze śpi. A na co wam on?

– Szwagra szukamy. Nie wrócił na noc.

Ojciec boleśnie opluł się kawą i wyszedł przed ganek. Z Melą zdążyliśmy wybiec przed nim. Chcieliśmy zwać przed babcią, ale równie mocno chcieliśmy dowiedzieć się, co się stało.

Nie widzieliśmy starego Wiśniewskiego od wczorajszego popołudnia. Przyszedł złożyć babci życzenia i przyniósł zabitego królika. Mój ojciec powiedział, że nie trzeba było, a potem, gdy Wiśniewski sobie poszedł, spytał mamę, czy według niej wszystko z nim w porządku. Nic mu nie odpowiedziała. Teraz Szotek i ten drugi prosili ojca, by poszedł z nimi szukać. Ojciec stał chwilę z otwartymi ustami, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Potem wszedł do domu i założył buty.

Przemknęliśmy między babcią a Szotkiem, potrącając przypadkiem nieznanego nam faceta, żeby jak najszybciej uciec z podwórka w nadziei, że babcia zapomni nam kurę. Szarpnęłam Melę za rękaw.

– Co jest?

– Jak będziesz się tak zachowywała, to babcia na pewno nie pozwoli ci zostać.

– Zachowałam się tak samo.

– To co innego.

Mela spojrzała na mnie tak, jakby zupełnie nie rozumiała różnicy. Chciała coś powiedzieć, ale głos babci dopadł nas z głębi podwórka:

– Chociaż jabłek nazbierajcie na marmeladę!

– Dobrze! – odkrzyknęłam. Mela odwróciła się ode mnie i pobiegła pod drzewo.

Schylała się już po jabłka, nie patrząc zupełnie, co zbiera.

Drzewo rośło za płotem, tuż przy drodze. Jako pierwsze ze wszystkich jabłonek miało owoce. Suche, robaczywe papierówki. Napchałyśmy sobie nimi brzuchy i koszulki podwinięte po same pachy.

– Opuść trochę, cycki ci widać – opieprzyła mnie Mela.

– Co z tego? Tobie też.

Mela nosiła już stanik, o czym ciągle mi przypominała. Teraz też nie omieszkła, spuszczać wzrok na klatkę piersiową. Opuściłam koszulkę i większość moich jabłek wypadła na ziemię. Potoczyły się prosto pod koła poloneza ojca. Obok niego siedział Szotek. Z tyłu facet z szotkowej rodziny. Jechali do wsi.

– No i mamy marmeladę! – zaśmiała się głupkowato, a ja zacisnęłam usta, udając, że w ogóle mnie to nie bawi. Ktoś inny przyłączył się do jej rżenia.

Pod płotem stał Damian, chłopak od sąsiadów. Przyglądał się nam cały czas, ale dopiero teraz go zauważyłam. Mela musiała widzieć go od początku. Pozbierał z drogi jabłka, które uniknęły zmiżdżenia, i wrzucił je w nasze podwinięte koszulki.

– Pomóc wam? – Miał piętnaście lat i głęboki głos lektora z telewizji. Niemal syntetyczny, zupełnie niepasujący do niewysokiego, patykowatego gówniarza z jasną grzywką, którą wciąż trzącał dłonią. Kiedy Mela widziała go ostatnio, skrzeczał jak żaba i zjadał grube końcówki wyrazów, nad którymi nie umiał zapanować. Nie mogło ujść jej uwadze, jak zmienił się sposób, w który mówił. I nie chodziło tylko o brzmienie.

– Dzięki! – wyjąkała.

– Chyba wystarczy! – Jabłka wysypywały się z mojej koszulki. Większość mocno obita, do niczego się nie nadawały.

– Chcesz wracać? No co ty?

– Nie dam rady więcej podnieść. I umieram z gorąca.

– Jak wrócimy, to babcia zapędzi nas do opalania kury, zobaczysz!

Babcia na pewno nam darowała, skoro wysłała nas po jabłka. Byłam tego pewna. Mela też to wiedziała, ale błagała mnie spojrzeniem, żebym nie zostawiała jej samej.

– Nie jesteście w kościele? – zapytał Damian.

– A co? – odbiła Mela.

– A nic. Myślałem, że wy zawsze jeździcie tam wszyscy.

Damian od ponad roku nie był już ministrantem, więc mógł przeoczyć, że od dawna mama jeździła tylko z Jackiem.

– Bo Mela ma okres – wypaliłam.

Mela chciała walnąć mnie w bok, ale przeszkodziły jej jabłka. Przy chłopakach takich rzeczy się nie mówi. Na pewno nie przy takich chłopakach.

– I ją boli.

– Nie jesteś już dzieckiem. – Patrzył tylko na nią.

Melę ścisnęło w środku za każdym razem, gdy ktoś inny wypowiadał słowa, które powinny należeć tylko do niej. Teraz też ścisnęło.

– Upiekło się nam dzisiaj – wystękała. – A ty, jaką masz wymówkę?

– Jestem po bierzmowaniu i nic nie muszę.

– Super! – Uśmiechnęła się.

– Ja sobie rozkminiłem tę religię. – Przykucnął pod drzewem i zaczął zbierać resztę owoców do swojej koszulki.

– Jak? – spytałam. Część jabłek, których nie byłam w stanie utrzymać, wypadła na ziemię. Wiedziałam, że jak Damian się rozgada, to prędko nie skończy.

– Kościół katolicki promuje wizerunek miłościwego Boga z Nowego Testamentu, ale on jest jeszcze gorszym chujem niż ten ze starego – zaczął. – Bóg mówi: synu, Jezusku, a może byś się tak poświęcił za ludzkość i dał ukrzyżować? Jezus pyta: tata, może lepiej nie? Nie chcę umierać, proszę, tata. Bóg na to: nie ma dyskusji, smarkaczu. Czujecie? Co robi ten miłosierny ojciec? Coś tysiąc razy gorszego niż wszystkie plagi, którymi dopiekał ludziom w pierwszym tomie sagi. Pamiętacie Abrahama i Izaaka?

Przytaknęłyśmy. Pamiętałam obrazek z Biblii dla dzieci i że bardzo szkoda było mi baranka.

– Podłe, co? Kazać ojcu zabić syna, ale w ostatniej chwili zmienić zdanie.

– Biedny baranek – westchnęłam. Damian z trudem zdusił śmiech. Rozprawiał dalej. – Jezus pewnie myślał, że stary się opamięta, zlituje i w ostatniej chwili podstawia jakąś owcę.

Zaśmiałam się. Damian ze mną. Bardzo bawiły go własne żarty. Mela się nie śmiała.

– Ale dupa. Jezus, sam jesteś owca. I teraz na pamiątkę tego dzieciobójstwa odmawiamy modlitwę *Baranek Boży*. Cała ta religia to historia rodziców, którzy dali

plamę. Bóg to najgorszy tata świata, a Kościół twierdzi, że nasz Bóg jest lepszy niż żydowski.

– Jesteś Żydem? – wypaliła Mela. Do tej pory stała cicho, wpatrzona w Damiana jak w święty obrazek.

– Nie w tym rzecz. A jeśli nawet, to co?

– No nic.

Opuściła ręce i wszystkie jabłka z koszulki wypadły jej na ziemię. Niektóre potoczyły się na ulicę, ale Meli w ogóle to nie obeszło. Zwiąła w stronę domu.

– Co jej się stało?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. Pozbierałam jabłka. Przytrzymałam je brodą. Cycki miałam już całkiem na wierzchu.

– W ogóle rozumiecie, o czym mówię? Czy jesteście za małe?

– Tak. Myślę, że masz rację. Pójdę do niej, okej?

Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi, ale wiedziałam od Meli, że nie wypada przyznawać się do tego przed starszymi dziećmi, jeśli chcemy, żeby nas lubiły. A Mela naprawdę bardzo lubiła Damiana. To akurat rozumiałam doskonale.